

Bartosz Jastrzębski: Nostalgia za przeszłością

Scruton powiada, iż konserwatyści „mogą odczuwać nostalgię za przeszłością, lecz nie będą się z nią obnosić jako z zadeklarowanym ideałem”. A może właśnie można i warto się z nią obnosić jako wzorcem, może – wbrew wszystkiemu i wszystkim – zostać jednak adwokatem przegranej, bo minionej, sprawy?



I tak oto dochodzimy do punktu, w którym się ze Scrutonem nie zgadzam. Bo powiada on, iż konserwatyści „mogą odczuwać nostalgię za przeszłością, lecz nie będą się z nią obnosić jako z zadeklarowanym ideałem”. A może właśnie można i warto się z nią obnosić jako wzorcem, może – wbrew wszystkiemu i wszystkim – zostać jednak adwokatem przegranej, bo minionej, sprawy?

Scruton, myśliciel głęboki i poważny, autor *Przewodnika po kulturze współczesnej dla inteligentnych* (samego również nader inteligentnego) popełnił nad wyraz mądrą i przenikliwą książeczkę *Co znaczy konserwatyizm*. Dzięki to z czystym sumieniem polecić mogę każdemu, kto chciałby bądź to dowiedzieć się trochę więcej o tym dawnym i szacownym kierunku w myśli politycznej bądź też po prostu poszerzyć i – by tak rzec - zdywersyfikować źródła oraz duchową przestrzeń swych własnych politycznych refleksji. To drugie wydaje się ostatnimi czasy szczególnie wskazane, jako że temperatura politycznej debaty rośnie odwrotnie proporcjonalnie (niestety) do jakości przywoływanych w tych sporach autorytetów i ekspertów.

Nie jest jednak moim zamiarem recenzować czy choćby streszczać tu tę ze wszech miar godną uwagi pracę. Chciałbym się jedynie podzielić z Czytelnikiem pewną (jedną z wielu!) refleksją, która przysłała mi do głowy podczas owej lektury, a ściśle biorąc następującego jej fragmentu: „[Konserwatyści] mogą odczuwać nostalgię za przeszłością – powiada Scruton - lecz nie będą się z nią obnosić jako z zadeklarowanym ideałem, natomiast znacznie bardziej uwodzicielską

nostalgię swych przeciwników za nieistniejącą przeszłością będą uważali za rodzaj niepohamowanego szaleństwa, za ostatni, niejako odwrócony, przeżytek wiary w istnienie złotego wieku”[1].

Otóż tu właśnie – nie ma w tej książce takich miejsc wiele - mam ochotę z autorem się nie zgodzić, czy raczej zgodzić nie w pełni. Całkowicie podzielam przekonanie, iż nostalgia za „nieistniejącą przyszłością” jest jakąś formą szaleństwa i to takiego szaleństwa, którego nie nazwałbym sympatycznym (a istnieją takie). Z tego też względu nigdy nie mogłem zrozumieć tych, którzy widzieli w biegu dziejów wyraz zwycięskiego pochodzenia jakiejś ważkiej i „dobrej” idei, dostrzegali w jego nurcie niebłaho rozumiany „postęp” ku „lepszemu” stanom rzeczy. Jedynym obszarem, na którym zasadnie chyba można o postępie mówić – to szeroko rozumiana technologia. Ale też, z drugiej strony, nawet jeśli uznamy ten fakt, nie przekreślimy tym samym faktu innego: ideologiczny projekt leżący u podstaw rozwoju technologicznego nie powiódł się. Technologia bowiem, najkrócej rzecz ujmując, miała uwolnić człowieka (zależnie od skali optymizmu – całkowicie lub w znacznej przynajmniej mierze) od przymusu ciężkiej pracy, a tym samym trwale go uszczęśliwić, a przynajmniej uszczęśliwienie takie organizacyjne umożliwić. Ani pierwsze, ani drugie, mimo niewątpliwego rozwoju technologicznego, nie urzeczywistniło się. Choć ludzie nie „harują” już tak ciężko fizycznie (przynajmniej na niektórych obszarach naszej planety), to jednak pracują za to dłużej niż kiedykolwiek (rezygnując bezsilnie po kolei z historycznych osiągnięć ruchu związkowego). Prawda, że częściej pracują głową niż rękami i grzbietem – ale nie sądzę, by znacznie lżejszy był to trud. Widuję na co dzień pracowników firm i korporacji, którzy „na czworakach” niemal i z obłędem w oczach powracają do swych domów, psychicznie i nerwowo (a też i, wbrew pozorom, fizycznie) wykończeni, niezdolni prawie do jakichkolwiek form

samorealizacji, niemający ni sił ni czasu dla rodziny, na samodzielne myślenie, na czytanie, na urzeczywistnianie swych zainteresowań i pasji – na oglądanie świata. Wynika z tego, że i również ów drugi cel – uszczęśliwienie ludzi – nie został dzięki technologii osiągnięty. Co więcej, widzimy wyraźnie, że rozwój technologiczny wymusza coraz bardziej złożone formy porządku społecznego i kultury pracy. Topniejąca nieuchronnie podaż miejsc godnego zarobkowania rozpala rywalizację i zwiększa zastępy gniewnego prekariatu, ludzi społecznie i ekonomicznie nikomu niepotrzebnych, których liberalni ekonomiści zapakowaliby najchętniej do jakiejś hermetycznej kapsuły i wystrzelili w kosmos, ku pożytkowi tych zaradnych i zadowolonych...

Nie o technologii samej jednak miała być mowa - jej rzeczowa krytyka przekracza zresztą moje kompetencje – wróćmy przeto do uwagi Scrutona. Jak się rzekło, podejrzanymi zdają mi się ci, którzy roją o świetlanej przyszłości rodzaju ludzkiego. I to nie tylko dlatego, że tacy utopiści ściągnęli na ród ludzki największe bodaj nieszczęścia w całej jego historii – wspomnijmy choćby pseudofuturystyczne rojenia dwudziestowiecznych komunistów i faszystów – ale również z tej racji, że całe ich postrzeganie jest niepokojąco kontrfaktyczne. Zgrabnie to bardzo ujął Jan Bobrzyński, zestawiając ową postawę z bardziej zrównoważonym podejściem konserwatywnym. Otóż powiada on: „Konserwatyzm postępuje więc drogą indukcji, kształtując się na realnych postulatach życiowych i na doświadczeniu, gdy radykalizm stwarza sobie sam tezy i kanony sztucznego postępu, drogą dedukcji z założeń, opartych na marzeniach lub ambicjach różnego rodzaju. Konserwatyzm stwierdza, że dwa a dwa jest i może być tylko cztery, radykalizm zaś, że pięć albo dziesięć, zależnie od stopnia swej 'postępowości'”[2]. Otóż właśnie: „czujący nostalgię za nieistniejącą przyszłością” gwałtem usiłują ją zdobywać, przez przypisywanie jej najdziwniejszych, mających się kiedyś rzekomo ziścić kształtów,

zgodnych wszakże z aktualnie modną, koniecznie przez nich samych wyznawaną ideologią. Nie dostrzegają przy tym najoczywistszych nawet znaków, świadczących jednoznacznie o powolnym „psuciu” się świata. Przyjrzyjmy się realności dzisiejszej i porównajmy ją z tą dawną – choćby pod względem estetyki. Zestawmy dla przykładu terażniejsze bloki mieszkalne z dawnymi kamienicami: zwróćmy uwagę nie tylko na wymiar ściśle estetyczny, ale też jakość wykonania, trwałość, solidność, kompozycję i harmonię elementów, usytuowanie w dookolnej przestrzeni. Porównajmy dawne meble, z jakim smakiem, starannością i dbałością o szczegół zostały wykonane i zestawmy je z dzisiejszą (i to wcale nie ta najtańszą) produkcją. Porównajmy ongiśszą porcelanową zastawę ze współczesnymi kompletami z przysłowiowej już „Ikei”. Zobaczmy jak kiedyś wydawano książki – a jak wydaje się je dzisiaj. Ale nie tylko o materialne przedmioty chodzi – choć o nie też, bo tworzą przecież środowisko, w którym żyjemy, a tym samym współokreślają nasze bycie. Porównajmy dzisiejszą edukację, zwłaszcza tę na – teoretycznie – wyższym poziomie z dawniejszym wykształceniem akademickim: terażniejszy magister (a obawiam się, że i niejeden doktor) nie miałby najmniejszych nawet szans w intelektualnym starciu z przedwojennym maturzystą. Weźmy dalej malarstwo, rzeźbę, ceramikę, ale też literaturę, o filozofii już nawet nie wspominając... można wymieniać do woli. We wszystkich tych obszarach terażniejszość przegrywa – i to jednoznacznie, z kretesem, przez ciężki „knockout” - z przeszłością. Ktoś mógłby powiedzieć, że owszem, osiągnięcia przeszłości były imponujące, ale przecież zdobywało się je kosztem nędzy i społecznego upośledzenia znacznych grup ludności, które do kultury w ogóle wstępu nie miały, a jedynie swym mozolnym żywotem umożliwiały twórczość lepiej urodzonych z „wyższych sfer”. Nie miejsce tu na rozważanie tego argumentu i innych podobnych, spod znaku teorii krytycznych i marksowskich. Nie

lekceważę ich, ale też i się z nimi nie godzę, uważając, iż na rozwoju kultury wysokiej, w ostatecznym rozrachunku, wszyscy jednak zyskiwali...

W przepastnych otchłaniach Internetu trafiłem ostatnio na stronę o nazwie „Storie dell'arte”, poświęconą dawnemu malarstwu. Kiedyś preferowałem sztukę fotografii, dziś zdecydowanie wolę malarstwo właśnie – przedkładam bujne wizje ludzkiego ducha nad wiosennie lekką nawet Naturę. Kontempluję tedy z upodobaniem zamieszczone na owej stronie obrazy dzieł sztuki dawnej: średniowiecznej, renesansowej, barokowej i późniejszej. Szczególnie chętnie zamieszczane są tam dzieła malarstwa XIX wiecznego, a zwłaszcza z *belle epoque*. Oglądam je z prawdziwą rozkoszą, bo uspokajają mnie, wyciszają (szczególnie pejzaże), wprowadzają w stan przyjemnie marzycielski, bardzo odległy od natarczywego, drażniącego hałasem i pstrokacizną, zgiełku współczesności. Przekonują mnie one nadto – potwierdzają bezdyskusyjnie - że kiedyś świat był w istocie lepszy: delikatniejszy, subtelniejszy, pełen elegancji i czaru, otulony półprzezroczystą, metafizyczną imaginacją, zaludniony ludźmi wierzącymi w wartości i wiecznotrwałe znaczenia – a zatem żyjącymi w pewnym sensie w Nieskończoności (bo „Jeśli Boga nie ma, to cóż ze mnie za kapitan?”).

I tak oto dochodzimy do punktu, w którym się ze Scrutonem nie zgadzam. Bo powiada on, iż konserwatyści „mogą odczuwać nostalgię za przeszłością, lecz nie będą się z nią obnosić jako z zadeklarowanym ideałem”. A może właśnie można i warto się z nią obnosić jako wzorcem, może – wbrew wszystkiemu i wszystkim – zostać jednak adwokatem przegranej, bo minionej, sprawy? Ogłosić się ostatnim rycerzem nieistniejącego już (albo istniejącego inaczej) świata, obrońcą

szlachetnych cieni? Kustoszem ginących pamiątek, strażą biblioteczną leciwych woluminów, obrazów, grafik i sposobów życia? Może jest to jednak jakiś sposób na godne spędzenie umysłowego życia w czasie tak marnym – z nostalgii zrobić swój duchowy pokarm i napój? A z nadziei na powrót, na odwrócenie bezlitosnej strzałki czasu – swą nadzieję i religię?

prof. Bartosz Jastrzębski

[1] R. Scruton, *Co znaczy konserwatyzm*, przeł. T. Biedroń, Poznań 2014, s. 218.

[2] *Konserwatyści polscy 1918-1939*, Warszawa 2014, s. 54.